

## **Łukasz Maślanka: Uciekając przed molochem**

Fantom państwa europejskiego nie jest żadnym panaceum na problemy trapiące państwa członkowskie i Unię jako organizację - przeczytaj w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Superpaństwo EU? tekst Łukasza Maślanki.

Zwolennicy przekształcenia Unii Europejskiej w państwo federalne uzasadniają swój pogląd chęcią udoskonalenia wspólnotowej maszyny biurokratycznej i licznymi udogodnieniami, jakie mogłoby to przynieść obywatelom. Tak naprawdę kieruje jednak nimi tylko jeden cel: uczynienie z Europy samodzielnego gracza w trwającym właśnie geopolitycznym konflikcie wielkich mocarstw. Superpaństwo stałoby się wehikułem sprzężonych interesów trzech największych krajów członkowskich (w dodatku za cenę ustępstw dwóch mniejszych) oraz trampoliną karier pojedynczych polityków z pozostałych państw, których interes prywatny odrywałby się w takim wypadku od interesu kraju pochodzenia i wiązałyby się z maszyną biurokratyczną centrali. Na scenariuszu federalnym najbardziej stratne byłyby kraje średnie, zmuszone dostosować swoje cele polityczne i gospodarcze do liderów peletonu. Praktyka polityczna ostatnich lat wykazała, że interesy poszczególnych członków Unii są dalekie od harmonizacji. Dlatego też federalizacja jest sprzeczna nie tylko z interesami Polski, ale też zagraża na dłuższą metę samej idei integracji.

Do obecnego etapu "wojny o świat" dopuszczone są cztery potęgi: Stany Zjednoczone, Chiny, Rosja i Indie. Pierwsze dwa kraje można nazwać pełnoprawnymi uczestnikami rywalizacji, gdyż walczą o utrzymanie (USA) lub przejęcie (ChRL) hegemonii. Rosja wymusiła swoje uczestnictwo ze względu na zajmowany przez siebie kluczowy obszar Eurazji, posiadany arsenał jądrowy, wysoką gotowość bojową sił zbrojnych oraz rolę głównego dostawcy surowców do Europy. Indie są na razie potencjalnymi uczestnikami wyścigu: ich zaangażowanie jest utrudnione przez zbytne wysunięcie na Południe, peryferyjne położenie geograficzne oraz liczne problemy wewnętrzne.

W przedstawionym powyżej krajobrazie nie ma miejsca dla żadnego kraju europejskiego (poza Rosją). Stary kontynent panował nad światem aż do wybuchu II wojny światowej. Jednym z warunków wejścia Stanów Zjednoczonych do globalnego konfliktu na arenie atlantyckiej był demontaż brytyjskiego i francuskiego imperium kolonialnego. Trudno powiedzieć, w jakim stopniu impuls dekolonizacyjny wynikał z ideologicznego nastawienia ekipy Roosevelta, a w jakim z podszeptów sowieckiej agentury. W każdym razie, gdy po 1945 r. Ameryka obejmowała supremację nad Europą Zachodnią, odziedziczyła wszystkie kłopoty mocarstw europejskich, w tym rozpadające się posiadłości zamorskie. Kryzys sueski, pierwszy (francuski) etap wojny w Wietnamie pokazywały determinację USA w odcinaniu kolejnych terytoriów od więzi z Paryżem i Londynem. Nie udało się jednak Waszyngtonowi wejść całkowicie w miejsce dawnych kolonizatorów. Trzeci Świat zachował w zimnej wojnie życzliwą neutralność w stosunku do Bloku Wschodniego. Z drugiej strony, dekolonizacja pozwoliła na skuteczną redukcję ambicji byłych mocarstw kolonialnych. Wielka Brytania zachowała uprzywilejowaną pozycję handlową z Commonwealthem i związała na stałe swoje

interesy z interesami amerykańskimi. We Francji wszystko to potoczyło się znacznie boleśniej: były posiadłości afrykańskie okazały się wielkim balastem, zaś polityka prezydenta Charles'a de Gaulle'a nakierowała największy kraj Europy Zachodniej na kurs rewizjonistyczny względem hegemonii amerykańskiej po lewej stronie Łaby. Atutem w tych dążeniach było stałe miejsce w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, które Francja uzyskała m.in. dzięki temu, że jako pierwsza uznała porządek jałtański-poczdamski poprzez cofnięcie uznania emigracyjnym rządowi Europy Środkowo-Wschodniej. Bipolarny porządek w Europie był oczywiście decydującą przeszkodą dla wykształcenia się na Starym kontynencie jakichś nowych podmiotowości w okresie zimnej wojny. Charles de Gaulle był zbyt wytrawnym politykiem, by życzyć sobie całkowitego wycofania się USA z Europy. Uważał jednak, że Francja, dla podkreślenia własnej roli, powinna prowadzić równoległe dążenia integracyjne, które w przyszłości stałyby się alternatywą dla Pax Americana. W celu poszerzenia politycznego pola manewru Francji, de Gaulle dążył do ułożenia sobie specjalnych stosunków z ZSRR i krajami bloku wschodniego (zwłaszcza z Polską i Rumunią). Stąd też jego sprzeciw wobec akcesji Wielkiej Brytanii do EWG. Źle ukrywana radość niektórych polityków europejskich z Brexitu jest dalekim echem tej postawy.

Powojenne Niemcy, potencjalnie najsilniejszy kraj Europy Zachodniej, były strefą okupowaną i wielkim poligonem NATO oraz Układu Warszawskiego. Bonn zaczęło kontestować ten stan rzeczy dopiero po dojściu do władzy socjaldemokratów. W połączeniu z polityką francuską, tandem ów stworzył już synergię myślenia o Europie Zachodniej jako o autonomicznym mocarstwie geopolitycznym. Do tego, zwłaszcza na odcinku wschodnim, dołączyły także Włochy, pozostając jednak (zwłaszcza w kwestiach wojskowych) wiernym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych. Z punktu widzenia tych wielkich

graczy europejskiej polityki udało się utworzyć coś, co można nazwać „zabawą w podmiotowość”: Europejczycy wytworzyli wystarczający potencjał, by działać samodzielnie tam, gdzie ich interesy nie stykały się z amerykańskimi, doskonale jednocześnie wiedząc, że zabawa trwa tak długo, jak amerykański parasol atomowy rozciągnięty jest nad zachodnią częścią kontynentu. Już pierwszy wielki test jedności europejskiej, jakim był kryzys naftowy lat 70., wykazał poważne różnice w strukturze europejskich gospodarek i udowodnił, że myślenie o Europie jako o jednym państwie to projekt na ładną pogodę. W zupełnym przeciwieństwie do przewidzianej traktatami wspólnej polityki energetycznej (EWWiS, Euratom), rolnej oraz swobód przepływu osób, kapitału, usług i towarów, które były niezbędnym podglebieniem powojennej koegzystencji państw Europy Zachodniej.

Wbrew tym sygnałom ostrzegawczym, kapłani projektu europejskiego byli zdeterminowani do jego dalszej biurokratyzacji nazywanej „pogłębianiem”. Nie jest to termin odpowiedni, gdyż „pogłębianie” oznacza niwelowanie różnic strukturalnych związanych z ogromną różnorodnością gospodarczą i społeczną europejskich państw i narodów. Tylko taka oddolna harmonizacja mogłaby zapewnić powodzenie projektowi federalnemu, jeżeli nie liczyć praktykowanej w XIX wieku unifikacji poprzez wojnę (USA, Niemcy, Włochy). Kluczem do rzeczywistego pogłębiania integracji jest ustalenie sprawiedliwego podziału pracy między krajami członkowskimi, to znaczy zapewnienie każdemu z nich niszy produkcyjnej odpowiedniej dla jego rozmiaru i potencjału ludnościowego. Nie ma to oczywiście nic wspólnego z sowieckim planowaniem gospodarczym, chodzi raczej o transfer środków z obszarów biedniejszych do bogatszych, pozwalający nie tylko na rozwój infrastruktury (polityka spójności), lecz także na awans technologiczno-przemysłowy w taki sposób, aby przemysły poszczególnych krajów nawzajem się uzupełniały wytwarzając równą

wartość dodaną we wszystkich krajach członkowskich (*per capita*). Nawet gdyby Wspólnota Europejska składała się tylko z trzonu karolińskiego, to tego typu polityka byłaby konieczna w stosunku do Włoch. Zamiast tego zdecydowano się na „budowanie domu od dachu”, to znaczy odgórne tworzenie prawnych zrębów państwowości, wprowadzenie wspólnej waluty dla krajów o bardzo różnym poziomie rozwoju, planowanie powołania konkurencyjnych wobec NATO sił zbrojnych i bezpieczeństwa. W efekcie, poziom transferów fiskalnych w ramach UE to obecnie ok. 0,5 % PKB, podczas gdy w skrajnie zdecentralizowanym państwie, jakim są USA, jest to 6%-10% PKB. Z punktu widzenia gospodarczego federalizm europejski to fikcja lub tworzenie jakiejś nowej opryczniny, zaś wszystkie działania w tym kierunku zdają się prowadzić jedynie do zaspokojenia ambicji geopolitycznych wielkich państw europejskich, nie zaś do harmonijnej integracji kontynentu. Chodzi oczywiście o umożliwienie Niemcom i Francji wzięcia udziału w „wojnie o świat” kosztem wszystkich innych partnerów europejskich, w tym zwłaszcza tych, którzy mają zbyt mało siły, by wynegocjować sobie za przyzwolenie na to odpowiedniego wynagrodzenia.

Euro pozwoliło bowiem na uniknięcie tego, co było koszmarem najbardziej uprzemysłowionych państw Unii: wytworzenia konkurencyjnego potencjału gospodarczego na peryferiach. Mamy zatem do czynienia z gospodarkami komplementarnymi, jednak według modelu neokolonialnego: państwa słabiej rozwinięte dostarczają półproduktów o niskiej wartości dodanej przemysłom państw kluczowych. Polityka spójności oraz swobody przepływu wytworzyły ponadto ogromne oczekiwania konsumpcyjne u obywateli uboższych krajów Wspólnoty. Oczekiwania te są zaspakajane z długu państwowego i z kredytów prywatnych. Dalszy ciąg tej opowieści znamy z Grecji. Konsekwentnie prowadzona, zwłaszcza po upadku

Muru Berlińskiego, polityka rozszerzania Wspólnoty sprawiła, że wytworzyła się całkiem spora grupa „krajów proletariuszy”. Tylko i wyłącznie wciąż rozciągnięty nad nami amerykański „parasol” militarny sprawia, że nie stoimy na progu czegoś w rodzaju europejskiej wojny secesyjnej (choć groźba dezintegracji zaczyna się realizować).

W naszkicowanym powyżej zarysie sytuacji gospodarczej i geopolitycznej Europy, Polska znajduje się w sytuacji potrójnie trudnej. Na płaszczyźnie gospodarczej jesteśmy krajem, którego transformacja ustrojowa ogołociła z wielu istotnych gałęzi przemysłu. Zajmowane przez nas obecnie miejsce w europejskim podziale pracy ogranicza się do eksportu siły roboczej, produktów rolnych i innych produktów o niskiej wartości dodanej (z paroma chlubnymi wyjątkami). Ponadto, wciąż bardzo dalecy jesteśmy od dostosowania naszej infrastruktury do średniego dla zachodu Europy poziomu. Tworzy to skuteczne narzędzie nacisku dla państw decydujących o rozdziale środków z funduszu spójności. Wreszcie, nasza pozycja geopolityczna, na granicy wpływów świata zachodniego i coraz bardziej agresywnej Rosji, połączona z bardzo złym stanem sił zbrojnych, stawia wciąż pod znakiem zapytania trwałość naszej niepodległości.

Wobec tego polityka polska musi podejmować działania zmierzające do storpedowania koncepcji federalizacji Europy, nawet jeśli w naszej sytuacji prowadzenie polityki podmiotowej jest bardzo trudne. Musimy jednak pamiętać, że są na świecie kraje o gorszej pozycji geopolitycznej (np. Mongolia, zręby państwa kurdyjskiego), które z tego nie rezygnują. Jediną alternatywą wobec prowadzonej przez ostatnie osiem lat polityki bezrefleksyjnego dostosowywania się do kursu niemiecko-francuskiego, prowadzącego *de facto* do federalizacji Europy, wydaje

się coś, co nazwałbym roboczo „odwróconą strategią de Gaulle'a”. Generał de Gaulle, jak wyżej napisałem, starał się wzmocnić podmiotowość Francji poprzez ograniczanie hegemonii amerykańskiej bez chęci całkowitego wypychania USA z Europy, w tym zwłaszcza z Niemiec. My powinniśmy dążyć do ograniczania obecnie prowadzonych działań federalistycznych w Europie bez zamiaru niszczenia samej koncepcji integracji. Podstawowa trudność takiej taktyki polega na tym, że potrzebny jest nam do tego silny partner, który by ją żyrował. Brexit jest w tym kontekście fatalną wiadomością. Skoro jednak Theresa May chce przekuć tę porażkę (także dla Wielkiej Brytanii) w sukces, to i Polska mogłaby zyskać geopolitycznie, gdyby udało się jej uzyskać status reprezentanta interesów brytyjskich w Unii Europejskiej. Ponadto, powinniśmy dążyć do zacieśnienia stosunków z innymi średnimi krajami Wspólnoty, z którymi łączy nas dodatkowo sytuacja gospodarcza. W grę wchodzi tutaj przede wszystkim Hiszpania, Rumunia, Czechy i Węgry. *Last but not least*, konieczne jest ubieganie się o poparcie Stanów Zjednoczonych, które byłyby główną ofiarą przekształcenia Europy w podmiotowego gracza obecnej „wojny o świat”. Administracja Baracka Obamy zdawała się przez większość czasu nie dostrzegać ryzyka emancypacji swoich wielkich europejskich partnerów, co doprowadziło do pogorszenia się sytuacji bezpieczeństwa w stosunkach z Rosją. Federalna Europa, jako samodzielny uczestnik „wojny o świat”, zajęłaby pozycję podobną do tej, która cechuje Indie i Rosję: licytowałaby w górę status polityczny Niemiec i Francji w zamian za partnerstwo z Ameryką. W gorszym scenariuszu, którym powinniśmy szczególnie intensywnie straszyć Waszyngton, doprowadziłaby to do synergii rosyjsko-europejskiej i przewartościowania obecnie trwającego konfliktu na niekorzyść Ameryki. W takim przypadku Polska mogłaby odgrywać rolę nic nieznaczącego korytarza, zaś istniejące różnice w rozwoju i dostępie do rynków poszczególnych części Polski mogłyby doprowadzić do odtworzenia jakiejś wersji scenariusza rozbiorowego wzdłuż granicy na

Wiśle. Nasza sytuacja geopolityczna sprawia, że za wielką łaskę uważamy rozmieszczenie na naszym terytorium jakichś szczątkowych oddziałów amerykańskich, które mają na tym odcinku wyznaczać granicę strefy wpływów tego mocarstwa. Gdyby Amerykanie inwestowali w polską armię tyle, ile przeznaczają na uzbrojenie prastarej demokracji egipskiej, w ogóle nie musieliby przejmować się wschodnią flanką, odsyłając za każdym razem do swojego partnera w Warszawie. Nieagresywny potencjał militarny Polski wytworzyłby strefę bezpieczeństwa, która zneutralizowałaby wiele z istniejących na drodze integracji środkowoeuropejskiej sprzeczności. Co zrobić, skoro niektórzy tak bardzo nie chcą pomóc sobie samym?

Oprócz działań blokujących, powinniśmy jednocześnie przedstawiać scenariusz pozytywny. Po pierwsze, należy popierać kraje Europy południowej w tych wszystkich działaniach, które miałyby prowadzić do rzeczywistego pogłębienia integracji na odcinku gospodarczo-przemysłowym, o ile nie wiążą się one z zacieśnianiem stosunków z Rosją. Po drugie, powinniśmy przedstawiać się jako strażnicy podstawowych wartości Unii ( swobód), odpierając w ten sposób zarzuty o eurosceptycyzm. Poważnym problemem obecnej dyskusji o Europie jest to, że kryteria „euroentuzjazmu” i „eurosceptycyzmu” są ustalane zgodnie z bieżącymi interesami mocarstw. W związku z tym, strzegący granicy strefy Schengen Viktor Orbán jest „antyeuropejski”, natomiast notorycznie wprowadzający rozwiązania kryptoprotekcyjności Niemcy i Francuzi są „proeuropejscy”. Terminy te nie mają obecnie innego znaczenia niż dawniej „wróg ludu” czy „imperialista”, są jednak wciąż skuteczną bronią w wojnie informacyjnej... rzeczywistych imperialistów.

Jednocześnie, niczym generał de Gaulle, powinniśmy dążyć do poszerzenia naszego pola manewru w polityce zagranicznej. Dobrym krokiem jest tutaj popieranie chińskiej koncepcji odnowienia Jedwabnego Szlaku, która stwarza szansę prowadzenia bardziej niezależnej polityki wszystkim krajom Azji Środkowej i Zakaukazia. Na początku dekady lat 2000. takie pole manewru stwarzała aktywność Stanów Zjednoczonych na tym obszarze, która zanikła wraz z dojściem do władzy Baracka Obamy. W to miejsce weszły Chiny. O ile ekspansja chińska na Pacyfiku jest ogromnym i realnym wyzwaniem dla polityki amerykańskiej, o tyle pęd w odwrotnym kierunku koliduje z interesami Rosji i powinien być wręcz wspierany przez Stany Zjednoczone. Kilka dni temu znalazłem wypowiedź Zbigniewa Brzezińskiego z 1986 roku, w której postulował wsparcie USA dla koncepcji Jedwabnego Szlaku 2.0. O ile cywilizacyjne miejsce Europy Środkowo-Wschodniej jest na Zachodzie, o tyle interesy gospodarcze skłaniają nasze kraje ku Wschodowi. Umiejętne korzystanie z otwartych przez Chińczyków możliwości zbytu i obrotu towarowego, a także zaangażowanie w rozwój infrastrukturalny krajów tranzytowych, mogłyby stać się motorem napędowym polskiego rozwoju. Szkoda, że okres absorpcji środków europejskich został tak fatalnie zmarnowany z punktu widzenia szans polskich firm budownictwa drogowego, kolejowego itd.

Na koniec, należałoby dążyć do odbiurokratyzowania instytucji Unii Europejskiej poprzez odebranie im posiadanych już atrybutów superpaństwa. Z naszego punktu widzenia środek jest tu ważniejszy od celu. Musimy pamiętać, że obecny establishment europejski może wkrótce zatopić fala rzeczywistego eurosceptycyzmu, która sprawi, że powyższe dywagacje o torpedowaniu idei państwa europejskiego staną się całkowicie bezprzedmiotowe. Koniecznym wtedy stanie się rzeczywiste ratowanie pokoju na kontynencie. Wyprzedzając to

zagrożenie, należałoby zaproponować przekształcenie Unii w normalną organizację międzynarodową, w której decyzje należałyby jedynie do reprezentantów państw członkowskich (Rada), wprowadzanych w życie przez kilka sprawnie działających agencji (zastępujących Komisję Europejską) ds. swobód gospodarczych i ceł, bezpieczeństwa i przepływu ludzi, wspólnej polityki rolnej, polityki przemysłowej i rozwoju. Należałoby też dokonać rewizji i ograniczenia prawa wtórnego, które w coraz większym stopniu staje się kolażem działań lobbystycznych, a nie odzwierciedleniem woli nieistniejącego narodu europejskiego.

Fantom państwa europejskiego nie jest żadnym panaceum na problemy trapiące państwa członkowskie i Unię jako organizację. Postulatorom tego typu projektów, ostatnio ministrom w spraw zagranicznych Niemiec i Francji, chodzi w gruncie rzeczy o wytworzenie wehikułu zdolnego do lewarowania pozycji geopolitycznej ich krajów. Nie powinniśmy tracić czasu na ideologiczną dyskusję o zasadności i bezzasadności uniwersalizmu europejskiego. W istocie jest ona tylko parawanem dobrze znanych nam z historii zakusów konkretnych stolic. Polska musi prowadzić politykę dążącą do wytworzenia w naszej części Europy alternatywy politycznej, militarnej i gospodarczej dla superpaństwa europejskiego. To polityka ponad nasze siły. Nie po raz pierwszy w historii jesteśmy zbyt słabi na bycie mocarstwem regionalnym i zbyt duzi, by do tego nie dążyć. Poczujemy się, że nasi główni przeciwnicy w tej rozgrywce: Niemcy i Rosja mają – już w skali światowej – ten sam problem.